

Nie działało się to ani za siedmioma rzekami, ani za siedmioma morzami, ani na szklanej górze, ani tym bardziej w złotym pałacu. Historia ta miała miejsce na Śląsku, w umiejscowionej pośród tajemniczych lasów dość marnej osadzie o kretyńskiej nazwie „Bubki”. Nazwa ta została oczywiście nadana przez samego dziedzica i na jego cześć bowiem szczylił się on przysługującym mu tytułem, przez samego króla nadanym jego przodkom: Mości Pan Arcy Bubek. Wioska Bubki składała się z kilku lichych chatynek, maleńkiego drewnianego kościółka, młyna i dworku Pana Dziedzica, który to dworek w sumie też był mizerną chałupą tyle, że większego nieco metrażu z gankiem podtrzymywanym przez dwie kolumny opaste niczym właściciele gospodarstwa. Na skraju wioski znajdował się zaś domek najędźniejszy z wszystkich: lepianka o zapadającym się dachu i wytłuczonych oknach. I w tym właśnie „przytulnym gniazdku” mieszkam ja z dwiema siostrzyczkami: Wercią i Marysią - dziewczeczkami bardzo ubogimi o kochających sercach i śmiejących się oczkach. Tak przynajmniej mówił o nas ojczulek Ambroży prowadzący parafię wsi Bubki. Chociaż gdybym chciała być zupełnie szczerą musiałabym rzec, że zdarzało mi się słyszeć także inną opinię – Pani dziedzicowa mawiała bowiem, że dziewczeczkami to i owszem jesteśmy, co poznać po naszych długich skołtunionych włosiskach, ale gnuśnymi i pozbawionymi wszelkich zasad moralnych, podbierającymi jajka jej kurom i wynoszącymi chrust z lasu drogiego małżonka.

Zanim rozgościłyśmy się w Bubkach uciekłyśmy z domu, od wstrętnej macochy, która tłukła nas wielką drewnianą warzechą do mieszania zupy, kazała klęczeć na grochu i zjadać codziennie łyżkę pieprzu. Próbowaliśmy osiedlać się w wielu wsiach, skąd po kilku miesiącach wypędzano nas za kuglarskie sztuczki ze znikającymi kurczakami, jabłuszkami ubywającymi z drzew czy królikami ginącymi w kapeluszu mojej starszej siostry – Werci (mistrzyni iluzji), a także za zaniedbywanie obowiązku szkolnego. W Bubkach ten drugi problem został rozwiązany mądrze przez Ojczulka Ambrożego, który prowadził szkołę. Opowiadał tak piękne historie o Panu Bogu, który czule kocha wszystkie dzieci – nawet takie zabiedzone jak my, że przychodziłyśmy na lekcje nad wyraz chętnie. Maleńki zakonnik o wesołym i życzliwym usposobieniu często wkładał nam do kieszonek w fartuszkach jajka gotowane na twardo, gdy przeciskałyśmy się obok niego przez klasowe drzwi, albo zostawiał nam pod pulpitemi ławek soczyste gruszki z jedyne drzewa owocowego, jakie rosło w jego ogrodzie. Dzięki temu, i naszym zdolnościom „magicznym”, odkąd osiadłyśmy w Bubkach nieczęsto było nam dane cierpieć głód. Chociaż drżałyśmy na myśl o ciemnej zimie, która mrozi drzewa owocowe, kury zapędza do kurników a jeziora ścina lodem.

Ale opowiem wam teraz co zdarzyło się pewnego sierpniowego popołudnia. Moja starsza siostrzyczka Weronika postanowiła wybrać się nad staw Pana Dziedzica. „A nóż jakaś smakowita rybka da się złapać na wędkę” – mrugnęła do mnie okiem porozumiewawczo i pogwizdując ruszyła w stronę włości dziedzicowych. Niestety, jak okazało się kilka godzin później, jedyną rybką jaka dała się złapać tego wieczoru była ona sama. Mości dziedzic schwycił ją na gorącym uczynku gdy zarzucała wędkę do jego stawu. Zaciągnął ją do swej żony, która wyszturchała Wercię straszliwie i wytłukła kijem. „Jeśli jeszcze raz Cię złapię na podkradaniu ryb rzucę Cię szczerom na pożarcie Ty plugawa Niedojdo!” – wrzasnęła. „Biedacy są gorsi od pluskiew – warczała gniewnie - robala uczciwy człowiek może rozgnieść na miazgę i nikt nie ma o to do niego pretensji. A z takimi nic niewartymi śmieciami trzeba się cackać bo niby toto też człowiek”.

Oj rozchorowała się Wercia strasznie po tej szturchance. A skoro najmłodszej siostrze Marysi mleko jeszcze nie wyszło pod nosem, na mnie rzecz jasna spadł ciężar kombinowania jedzenia dla naszej gromadki. Jak wspomniałam wcześniej- na szczęście wszystko to działało się latem więc można było chodzić do lasu po grzyby i po jagody, poza tym ojczulek Ambroży pomógł nam na wiosnę założyć pole ziemniaków, które można już było okopywać. Pewnego dnia postanowiłam także iść nad staw, aby złapać rybkę, z której zamierzałam ugotować rosół dla chorej Werci. Strasznie bałam się dziedzica dlatego wyruszyłam dopiero gdy słońce schowało się za ścianą lasu. Przedzierałam się cicho przez gęsty tatarak by w końcu zasiąść spokojnie na brzegu i zarzucić wędkę w czarne zwierciadło odbijające mrugające gwiazdy, chudy rogal księżycy i moją twarz dziwnie pofalowaną. Nagle wody jeziora się poruszyły odsłaniając osobliwe postacie, które bezdźwięcznie wyciągnęły ramiona w moją stronę i uniosły mnie bez wysiłku ciągnąc za sobą w głębinę. Zacisnęłam powieki a w myślach powtarzałam w kółko „Panie Boże, który kochasz nawet takich mizeraków jak ja – ratuj”. Gdy w końcu otwarłam oczy spostrzegłam, że stoję na rozległej łące z wodorostów, które otaczały wielki tron z kamyków i omułowych muszli a w nim rozparte było potężne zielone ciało mężczyzny o

rozeźlonej twarzy, z falującą brodą i długimi złotymi włosami spletanymi z koroną wieńczącą jego skronie, uplecioną z sitowia. Podwodną łękę otaczały zastępy utopców i utopków wlepiających we mnie wytrzeszczone gały. Ukłoniłam się głęboko zielonemu Panu domyślając się, że jest Paterplessem, władcą tego jeziora, na co on wbił we mnie lodowate spojrzenie, które zmroziło mnie aż po czubki palców u nóg. W końcu jego sine usta rozchyliły się i rzekł:

- Jesteś Dziewczynką?

-Tak – potwierdziłam cichutko

- Hmm – zamrugał oczami – myślałem, że Dziewczynki po zmroku siedzą w domu. Dlaczego łowisz ryby w moim stawie pozbawiając jedzenia ten lud? – zatoczył ręką wokół wskazując na utopków zbitych teraz w grupy i śledzących oliwkowymi oczami rozwój wypadków. Jego włosy zafalowały gdy gniewnie poruszył głowę.

- Paterplessie , władco tego jeziora – zaczęłam (a on wydawał się zadowolony, że wiem kim jest) – gdybyśmy nie przychodzili nad ten staw, cierpiałybyśmy z siostrzyczkami głód - i tu opowiedziałam mu kilka słów o tym, kim jesteśmy, dlaczego ośmieliłam się łowić w jego jeziorze, i o nadziei że uda mi się złapać rybę, z której rosół przywróci Werci zdrowie. „Chciałam się tu wybrać w ciągu dnia, ale bałam się dziedzica i jego żony, którzy są właścicielami tego jeziora. Lękałam się, że rzucą mnie szczurom na pożarcie”.

- Co?! – zawołał oburzony Paterpless – ten grubas uzurpator wynosi stąd miesięcznie więcej ryb niż ty i twoje siostry byłybyście w stanie zjeść przez trzy lata. Poza tym ludzie nie mogą być właścicielami jezior, ani lasów, ani gór. Natura rządzi się sama. Zaś królem tego jeziora jestem ja – wyszczał wściekle – a teraz zejdź mi z oczu Dziewczynko! Czy jak tam masz na imię... – sapnął.

- Tak jest Wasza wysokość – wykrztusiłam zachwycona, że pozwala mi odejść i zaczęłam się cofać z twarzą zwróconą w jego stronę (jak należy się zachowywać w towarzystwie króla).

Po kilku chwilach on poruszył swoim zielonym, łuskowatym ciałem tak , jakby coś mu się nagle przypomniało i rzekł z przekąsem:

- Acha, i nie zapomnij co ósmy dzień sprawdzić beczki w Waszej komórcie.

Po czym odprawił mnie zniecierpliwionym gestem ręki. Kiedy starałam się czym prędzej stamtąd zniknąć odpływając z godnością jedynym znanym mi stylem, czyli pieskiem, zdumione utopce szeptały między sobą wskazując na mnie swoimi zielonymi, oślizgłymi palcami.

Nie wiem jak król jeziora dostarczał nam ryby, bowiem nawet gdy nie spałyśmy przez całą noc nie udało nam się nigdy usłyszeć ani zobaczyć nikogo. A jednak co osiem dni beczka w komórce wypełniona była nimi po brzegi. Było tych ryb tak dużo, że dzieliłyśmy się nimi nie tylko z Ojczulkiem Ambrozym, ale także z wszystkimi biednymi dziećmi zamieszkującymi Bubki. Dzięki temu ich tatusiowie skrzyknęli się kiedyś i naprawili dach oraz okna w naszej chałupie. Zaś mamusie z wioski zrobiły nam na drutach śliczne firanki i dużą serwetę na stół.

Kilka dni po moim spotkaniu z Paterplessem widziano mości dziedzica, który poszedł nad staw łowić ryby i nigdy nie wrócił. Wszelki słuch po nim zaginął zaś ludzie gadali potem, że utopce go najpewniej porwały by uczynić jednym ze sług Paterplessa, a skoro gruby był i obrośnięty tłuszczem to nie potrafił im uciec ni wydostać się na brzeg.

Po tym wypadku Mości Pani Dziedzicowa wyprowadziła się z wioski w pośpiechu (najpewniej na którąś ze szklanych gór) zostawiając stado kur i kaczek, cztery krowy a nawet kozę z kozłatką i gołębia pocztowego. Od tej pory żadnemu z mieszkańców wsi nie zabrakło jaj, świeżego mleka ani twarogu. Bardzo weseli byliśmy naówczas bowiem dużo raźniej żyło się nam pośród pięknych śląskich lasów i jezior z pełnymi brzuchami i bez szacownego, mości pańskiego towarzystwa Arcy Bubków.